

Marian Filar

Gadżety demokracji

Palestra 41/9-10(477-478), 67-68

1997

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Co piszczy w prawie

Marian Filar

■ Gadżety demokracji

Gdybyśmy jakość demokracji oceniali po ilości demokratycznych instrumentów urzędów znajdujących się w dyspozycji danego systemu, Polska byłaby najbardziej demokratycznym krajem świata. Dotyczy to zwłaszcza instrumentów z arsenału kontroli przestrzegania prawa. Czegóż to u nas nie ma! Sąd Najwyższy, NSA, z pół tuzina rzeczników przestrzegania praw obywatelskich zarówno „pa wsiech”, jak i poszczególnych grup obywateli, Trybunał Konstytucyjny. Wydawałoby się więc, iż co jak co, ale praworządność i obywatelskie prawa w kraju nad Wisłą są w stanie wręcz kwitnącym i Strasburg nie ma co na nas liczyć. Koń jaki zaś jest naprawdę, każdy widzi. Bo prawdziwa demokracja i prawdziwa praworządność nie zależy od ilości gadżetów w szafie z napisem „Demokracja”, tylko od woli czynienia z nich użytku. I to użytku w dobrej wierze, tj. zgodnie z ich prawdziwym przeznaczeniem. Bo szafa z gadżetami demokracji, to nie szafa z dziecinnymi zabawkami, gdzie to blaszane wiaderko w zależności od potrzeby i widzimi się jej dysponenta raz „robi” za naczynie do noszenia piasku, a raz za rycerski hełm. W szafie prawdziwej demokracji wiaderko to wiaderko i nic innego.

Pisząc ten felieton nie wiem oczywiście, jakie będą ostateczne losy sławetnej „afe-

rki” z obsadą Trybunału Konstytucyjnego. To, że akurat TK jest dla polityków szczególnie łakomym kąskiem, wcale mnie nie dziwi. Wszelkie inne sądy takie jak SN czy NSA rozstrzygają sprawy o charakterze mniej lub bardziej indywidualnym i relacjonowanym do konkretnych przypadków. TK rozstrzyga natomiast o prawie. Ma więc w jakimś sensie prawotwórczy charakter. Gdyby teoretycznoprawni puryści skrzywili się w tym momencie to zgoda, nawet jeśli nie prawotwórczy w dosłownym sensie, to „prawobójczy” lub przynajmniej „prawowykładczy”. A tworzenie powszechnie obowiązującej wykładni prawa to, moim zdaniem, też rodzaj prawodawstwa. W każdym razie rozumiem gryzących ze zdenerwowania pazury polityków – my, wybrańcy Narodu coś sobie tu w koalicyjnej większości uchwalimy, a tam kilku facetów wysła to naraz „na drzewo”! Dobrze byłoby więc mieć sprawę „pod kontrolą”. Tylko jak, skoro w nowej konstytucji werdykt tych facetów jest ostateczny? Ano, przydałoby się „na tym odcinku” nasi ludzie! A tych możemy sobie przecież wybrać, bo takie nasze demokratyczno-konstytucyjno-koalicyjne uprawnienia. Ot i cała tajemnica TK-owskiej aferki.

Powiedzmy sobie to jasno, obsada TK zawsze będzie miała polityczny posma-

czek. Znam osobiście mniej więcej połowę obecnego składu TK i mogę powiedzieć bez wahania, że tworzą go ludzie profesjonalni i kompetentni. Tylko – proszę bez urazy – bez większego trudu rozszyfrować można, kto znalazł się w Trybunale w związku z politycznym poparciem partii X, a kto partii Y. I dobrze wiadomo im samym także, że gdyby nie to poparcie, nie byłoby ich prawdopodobnie, choć są profesjonalni i kompetentni, w TK. I sam zresztą Prezes Zoll nie zrodził się na prezesowskim stolcu z politycznego niebytu, lecz z błogosławieństwa określonej politycznej opcji. Nie ma więc się czym gorszyć, bo inne wyjście po prostu nie istnieje! Rzecz jednak w tym, by wybrani z politycznym namaszczeniem sędziowie TK potrafili po swej nominacji unieść się „ponad”. I swe polityczne sympatie, powiązania, a czasem i zobowiązania, zostawić wraz z płaszczem w sądowej szatni.

No, nie przesadzajmy, może nie całkiem i nie do końca, bo to utopia, ale przynajmniej w znaczącej części. A już, na Boga, nie mogą przy samym wejściu dawać podstaw do podejrzeń, że taszczą je za pazuchą na sądową salę. Nawet gdyby mieli szczerą indywidualną wolę, by tego nie robić. A dwaj wymieniani już na wstępie kandydaci byli wprost klinicznymi przykładami takich właśnie osób. Nie można być przecież prominentnym „pierwszozstronnicowym” działaczem politycznym w poniedziałek, ministrem sprawiedliwości z jej ramienia we wtorek, zaś apolitycznym sędzią TK we środę. Dwoje w jednym dobre jest w szamponie, gorsze jednak w TK.

Inna rzecz, iż o kandydatów do TK w naszych warunkach niełatwo. Utało się,

że sędziami TK zostają albo tzw. wybitni profesorowie uniwersyteckich wydziałów prawa, albo też wybitni praktycy. I w dodatku jedni powinni coś wiedzieć o realiach praktyki, drudzy zaś o teorii prawa. Narobię sobie wrogów, ale w Polsce nie ma „wybitnych” profesorów prawa w tzw. starym stylu. Czasy Wolterów czy Makarewiczów skończyły się nieodwołalnie. System prawa tak się rozwinął, iż żaden geniusz nie jest w stanie zapanować nad jego całością, a to podstawowa cecha „wybitnego profesora”. Owszem, jest wielu bardzo kompetentnych w swych dziedzinach, ale to wszystko. Praktycy z kolei – znów proszę bez urazy – zaganiani w codziennym kieracie lawiny spraw, nie bardzo mają „zdrowie” na śledzenie zdobyczy nauki. Owszem, są tacy, kilku nawet znam, ale tłoku tu nie ma. No i na koniec, ta nasza nieszczęsna finansowa mizeria powodująca, iż niezależnych finansowo prawników gotowych podjąć pracę w TK nie za wiele. A dla uniwersyteckiego profesora z chudą akademicką pensyjką „trybunalskie” wynagrodzenie to dość łakomy kąsek. Także i dla praktyka wyrwanie się z codziennego kieratu „numerków” i spokojna przystań w Trybunale też „nie od macochy”. I jeśli nawet w poszczególnych przypadkach dalecy są oni od takiej motywacji, to jednak, co tu kryć, żona Cezara była od nich w lepszym położeniu. A w prawdziwej demokracji Trybunał Konstytucyjny musi być w sytuacji żony Cezara. Bo inaczej będzie jedynie gadżetem demokracji. Musimy więc zrobić wszystko, by go do tej komfortowej, acz niezbędnej, kondycji maksymalnie zbliżyć. A przynajmniej zrobić co się da, by nikt nie mógł uważać go za żonę cesarza Klaudiusza.